

Ceglarski Wojciech

Brama

Z „Fahrenheit”

Rodzicom

Ta brama zawsze go przerażała.

Pierwszy raz zobaczył ją z ramion Ojca, z ulicy zalanej światłem. Nagle znalazł się w ciemnej przestrzeni pełnej nieznanym mu zapachów i dziwnych, głębokich dźwięków. Nawet głos Ojca był dudniący, obcy.

– To tu, na pierwszym piętrze.

Drzwi za nim zamykały się z przenikliwym zgrzytem, zmniejszając smugę światła. Gdy znikła, mocniej przytulił się do Ojca.

I później, gdy sam, wspinając się na palcach, ściągał w dół dużą, chropawą w dotyku klamkę i wciskał się w szparę drzwi, te kilka schodów do pierwszego podestu pokonywał jak najszybciej, ze strachem patrząc na ponure plamy ścian.

– Widzisz, Synku, tu teraz będzie nasz dom. To miasto nazywa się Wrocław, mieszkamy na ulicy Mierniczej, będziesz pamiętał?

Ale w pierwszych dniach bardziej pamiętał tamten dom nad łąkami, z rozległą płaszczyzną pól, ścianą lasu, a za nimi wybuchy i łuny ognia, kiedy – jak mówiła Mama – "przechodził front".

Zapominał stopniowo długą podróż w wagonach, wypełnionych przez ludzi i zwierzęta, strach, że Ojciec nie zdąży wskoczyć do ruszającego pociągu, i wstyd – że na postoju nie zdążył zrobić siusiu.

W tym domu wszystko było inne. Za przyzwoleniem Mamy (i z Jej ramion) naciskał pstryczek na ścianie i mrużył oczy, patrząc na żarówkę, zawieszoną wysoko pod sufitem. Jej światło nie przypominało migotliwego, niespokojnego blasku świec czy naftowej lampy. W pokoju stały szafy z błyszczącymi klamkami, których z trudem dosięgał... I było duże łóżko, ze sprężynami i materacem, po którym mógł, za zgodą Rodziców, skakać i robić fikołki.

Z okna na podwórze rozciągał się widok na ogromny ogród z jesiennymi drzewami, zamknięty ścianą czerwonych budynków i przysadzistą wieżą kościoła. Mama mówiła, że to jest szpital i Kościół Ojców Bonifratrów, że tam leżą chorzy ludzie.

Wieczorami, kiedy patrzyli razem na świecące długo w noc okna, chętniej opowiadała mu bajki, niż odpowiadała na pytania, co się tam dzieje.

Bardzo lubił siadać z Mamą na balkonie od ulicy. Przez żelazne, wygięte pręty patrzył na mały płomyczek schowany w kloszu lampy gazowej, której wierzchołek znajdował się blisko balustrady. Czekali na chwilę, gdy do cokołu podchodził człowiek w granatowym drelichu i haczykiem na długim kiju pociągał za kółeczko u podstawy klosza. Małe światełko zmieniało się w błyszczącą, żółtą kulę, wypędzając z balkonu

wieczorne cienie. A Mama pokazywała kolejne lampy wzdłuż ulicy, zapalając je dotykiem palca – wierzył w to, zapominając o "panu z haczykiem".

Nadchodziła zima.

Rano często uczestniczył w rozpalaniu pieca w dużym pokoju. Mama pozwalała mu zwijać gazetę w kulkę. Wkładała ją do paleniska w zielonym, kaflowym piecu, przykrywała szczapami drewna i bryłkami węgla, a potem podpalała. A gdy był już ubrany w sweterek i rajtuzy, przez zimny korytarz przechodził do ciepłej kuchni.

Na gorącej, żelaznej płycie grzało się tam mleko i woda. Jadł potem owsiankę, chleb z masłem i marmoladą. A w soboty już od rana pachniało kakao i drożdżówka z kruszonką.

W ciągu dnia oglądał niemieckie książki, które znalazł w mieszkaniu. Najbardziej podobały mu się kolorowe zdjęcia ptaków i zwierząt, ale lubił też zdjęcia i rysunki żołnierzy w innych mundurach z dziwną bronią.

Ojciec wieczorami tłumaczył mu podpisy i opowiadał o treści rysunków. Wtedy dowiedział się, że Tata nosił kiedyś taki mundur, spiczastą czapkę i hełm. Mama wyjaśniła mu, że to było bardzo dawno, że kiedyś nie było Polski i że Tato musiał się uczyć po niemiecku i walczyć z Francuzami. Ojciec niechętnie rozmawiał z nim na ten temat.

– Jeszcze jesteś za mały, kiedyś ci opowiem. To była inna wojna.

Ale z panem Wolfem Tata rozmawiał często i chyba mówili też o tamtej wojnie.

Pan Wolf był Niemcem i mieszkał na czwartym piętrze kamienicy.

Pewnego wieczoru Ojciec zaprowadził go na górę. Szli z Ojcem po schodach, pierwszy raz tak wysoko, stopnie tu były bardziej zniszczone i skrzypiące, nie miały błyszczących okuć. Na półpiętrze zatrzymali się na chwilę. Z okien widział ogród, patrzył z wysoka na bezlistne drzewa, dachy szklanych domków i mały budynek, który Ojciec nazwał "kostnicą".

Na ostatnim piętrze stanęli przed niskimi drzwiami, z dyktą zamiast szyby. Ojciec pozwolił mu pokręcić żelaznym kółkiem, rozległ się zgrzytliwy terkot dzwonka, drzwi otworzyły się po chwili.

I wtedy spotkał swojego pierwszego kolegę.

W kamienicy mieszkało dwóch starszych chłopców. Trochę ich się bał, bo straszili go na schodach, i mówili, że w piwnicach chowają się Niemcy, a w nocy po ogrodzie szpitala chodzą trupy.

Lutz był wnuczkiem państwa Wolfów. Niewiele od niego starszy, chudy ("chudzieńki taki" – jak mówiła Mama), z jasnymi włosami i oczami, patrzył na niego bez uśmiechu. Nieśmiało podał mu rękę. Ale już w czasie pierwszej zabawy, mimo że mówili różnymi językami, zrozumieli się bez trudu. Lucek miał zabawki – armię cynowych żołnierzyków i duży, blaszany czołg z kółkami. I konia na biegunach z ogonem oraz grzywą z prawdziwego włosia. Pomimo zimna w mieszkaniu, potrafili dokazywać całymi godzinami, porozumiewając się bez słów lub ucząc się obcych wyrazów jeden od drugiego. Były to słowa, które najczęściej słyszeli: krieg, tott, głód, a także: łap, masz, daj.

Tata nauczył go któregoś wieczoru wyliczanki, którą później z dumą wyrecytował koledze:

– Mucha – flüge, koza – zige a słonina – speck.

Często powtarzali te słowa jak rozśmieszające zaklęcie. A pani Wolf, słysząc te śmiechy, przynosiła im herbatę z lipy lub chleb posypany cukrem. Przerywali wtedy i jedli ze smakiem przytulając się do ciepłych kafla pieca. Lucek czasem pokazywał mu zdjęcia – uśmiechał się smutno, mówiąc:

– Mein Vater, meine Mutter.

Od Taty dowiedział się, że ojciec Lutza zaginął w Rosji, a mama umarła w czasie oblężenia.

– Co to jest oblężenie? – zapytał wtedy.

– To tak, jak przejście frontu, tylko jeszcze straszniejsze, synku.

* * *

Przyszły święta.

W kościele, którego wieża stała za oknem, oglądał z Rodzicami żłobek z małą Bożą. A przedtem była wigilia z zapachem ciasta, kutii, barszczu i uszek z grzybami. Były spacery nad rzeką, pierwszy śnieg i jazda na małych saneczkach z metalowymi płozami.

Pierwsza zima we Wrocławiu mijała mu na spotkaniach z Luckiem, poznawaniu okolicznych ulic i sklepów. Najczęściej jednak przesiadywał w pokoju. W oknach pokrytych mrozem wyciskał, ogrzaną przy piecu monetą, okrągłe otwory. Jak przez zaczarowane lodowe okulary patrzył na ogród, obserwował stada gawronów i szpitalny dziedziniec. Już wtedy wiedział, że na wózkach z białymi pakunkami (które znikają w małym budynku) wiozą umarłych. Mama nie lubiła, gdy mówił "trupy". Złościła się też, gdy z przejęciem opowiadał:

– Jak wózek się zatrzymał, to taki pan w białej koszuli zeskoczył z niego i uciekł do bramy – naprawdę widziałem. Widziałem to!!!

Wieczorem Mama mówiła Ojcu, że mały za dużo zmyśla, bo opowiada o czarnym psie na półpiętrze, o głosach w starym piecu i o pani w czarnym płaszczu, która stała na parapecie i zasłaniała okno. Ojciec śmiał się z tego i powtarzał:

– Chłopiec z tego wyrośnie.

Aż któregoś dnia usłyszał od Mamy:

– Będziesz musiał rozstać się z Luckiem, bo on wyjeżdża.

Tego popołudnia Lutz przyszedł do niego z dziadkami. Podczas zabawy był smutny, próbował mu coś powiedzieć, powtarzał:

– Tante Rita – Bochum.

Ojciec wieczorem tłumaczył mu, że tak, jak on z Mamą musieli wyjechać z Wilna do Wrocławia, tak Lucek też pojedzie do nowego domu, do ciotki Rity, która mieszka w mieście Bochum.

Następnego dnia Mama ubrała go i kazała zejść na ulicę. Powoli schodził po schodach, serce biło mu mocno, dłonie ślizgały się po poręczy. Na szczęście, brama była uchylona, przez szczelinę do środka wdzierało się wiosenne słońce.

Na chodniku przy starym dziecięcym wózku wypełnionym tobołkami stał Lutz. Patrzyli na siebie bez słowa. Lucek podszedł do niego, dorosłym gestem ucisnął mu rękę i po polsku powiedział:

– Do widzenia.

A on zrozumiał nagle, że już nigdy się nie zobaczą.

Po schodach zszedł pan Wolf w grubym, czarnym płaszczu i czapce, z dużym plecakiem w ręku. Tuż za nim Mama z panią Wolf. Nie pamiętał dalszego pożegnania, tylko głośnie skrzypienie kół wózka, gdy cała trójka wolno ruszyła w kierunku ulicy Traugutta.

Lucek pomachał mu jeszcze ręką, on odpowiedział na ten gest i mocno przytulił się do Mamy.

Tata, gdy wrócił z pracy, powiedział:

– Lutz zostawił dla ciebie prezent.

Był to blaszany czołg i tekturowe pudełko z cynowymi żołnierzkami.

* * *

Potem przyszła wiosna.

Ogród i podwórko przed domem stały się zielone. Codzienne odkrywanie nowych rzeczy zacierało pamięć o koledze, ale czasem, gdy bawił się żołnierzkami, brakowało mu Lucka. Wybierał wtedy jedną figurkę, wyliczając:

Mu-cha fli-ge ko-za ci-ge a sło-ni-na szpek!

Pewnego dnia Tato przyniósł z pracy piłkę. Nie "szmaciankę", jaką grali starsi chłopcy na podwórku, ale prawdziwą – ze skóry.

Piłka była stara. Mama długo grubą dratwą łączyła jej podarte płaty. Ojciec zakleił dziury w dętce, nadmuchał ją i zasznurował mocno rzemykiem. Mama pozwalała mu z rana wychodzić na podwórko – bawił się najczęściej sam. Gdy któryś ze starszych chłopców próbował z nim grać, podnosił krzyk.

Tego dnia było chłodno. Matka niechętnie pozwoliła mu wyjść. Szedł po schodach, trzymając się poręczy i mocno do piersi przyciskając piłkę. Na ostatnim podejściu wypadła mu z dłoni. Ze strachem patrzył, jak odbijając się po stopniach, znika w ciemnym przejściu prowadzącym do piwnicy. To było jedno z tych strasznych miejsc, o których opowiadali mu starsi chłopcy.

Nigdy nie wchodził tam sam, zawsze z Ojcem. Z niepokojem patrzył wtedy na cienie poruszające się na ścianach, gdy przy świeczce pomagał wkładać bryłki węgla do wiadra.

Piłka wolno toczyła się po nierównej, ceglanej podłodze. Znieruchomiła przy ścianie. Schodził do niej po chybottliwych stopniach. Gdy podnosił ją z podłogi, zobaczył Niemca. Wyglądał jak na zdjęciach, w długich butach, w płaszczu do kolan, w czapce z "gapą". Znał tę twarz.... Lutz pokazywał mu zdjęcia. Vater! Ojciec Lucka?!

– Lutz pojechał do Bochum, do ciotki Rity – wydusił ze strachem. Złapał piłkę i wspinał się po schodach. Cały czas wykrzykiwał:

– Tante Rita, Bochum! Tante Rita, Bochum!

Mama zastała go na półpiętrze, płaczącego i powtarzającego: "Lutz, Bochum". Pogłaskała i wzięła na ręce. Uspokoił się dopiero w domu. Nie powiedział nic o spotkaniu w piwnicy. I zapomniał o tym, jak o pani na parapecie i o czarnym psie...

Wychodząc z mamą pewnego dnia zobaczył, że brama jest inna. Zdjęto deski, założone podczas oblężenia, w ich miejsce wstawiono szyby z drucianą kratką przepuszczającą światło. Ściany połyskiwały zieloną farbą – cienie zniknęły. Klamka była niżej.

Wieczorem Ojciec pakował zdjęcia, które zostały w mieszkaniu Wolfów. Na jednym z nich zobaczył znaną mu postać.

– Ten pan był w piwnicy.

– Oj, synku, znowu zmyślasz. Tata Lutza zaginął i nie mógł być tu, w naszej piwnicy.

Ale on wierzył, że ojciec Lutza pojechał do Bochum i odnalazł rodzinę.

– Każdy synek powinien mieć swojego tatusia, prawda, Tato?

– Tak, synu.

Zbigniew Ceglarski –

lekarz, doktor nauk medycznych, czynnie praktykujący gastrolog.

Lubi: dobre cygara i wina, dobrą literaturę, podróże.

Ostatnio odwiedzone miejsca: Synaj i Jerozolima.

Absolutnym uwielbieniem darzy swojego wnuczka Kubusia (14 miesięcy - to nie czas uwielbienia, lecz wiek wnuczka).

Nałogi: dobre cygara i wina, dobra literatura, podróże

Wady: przez 35 lat słucha tej samej Żony. Stosunek do służby wojskowej: pułkownik w stanie spoczynku.

Ciągle żywy.